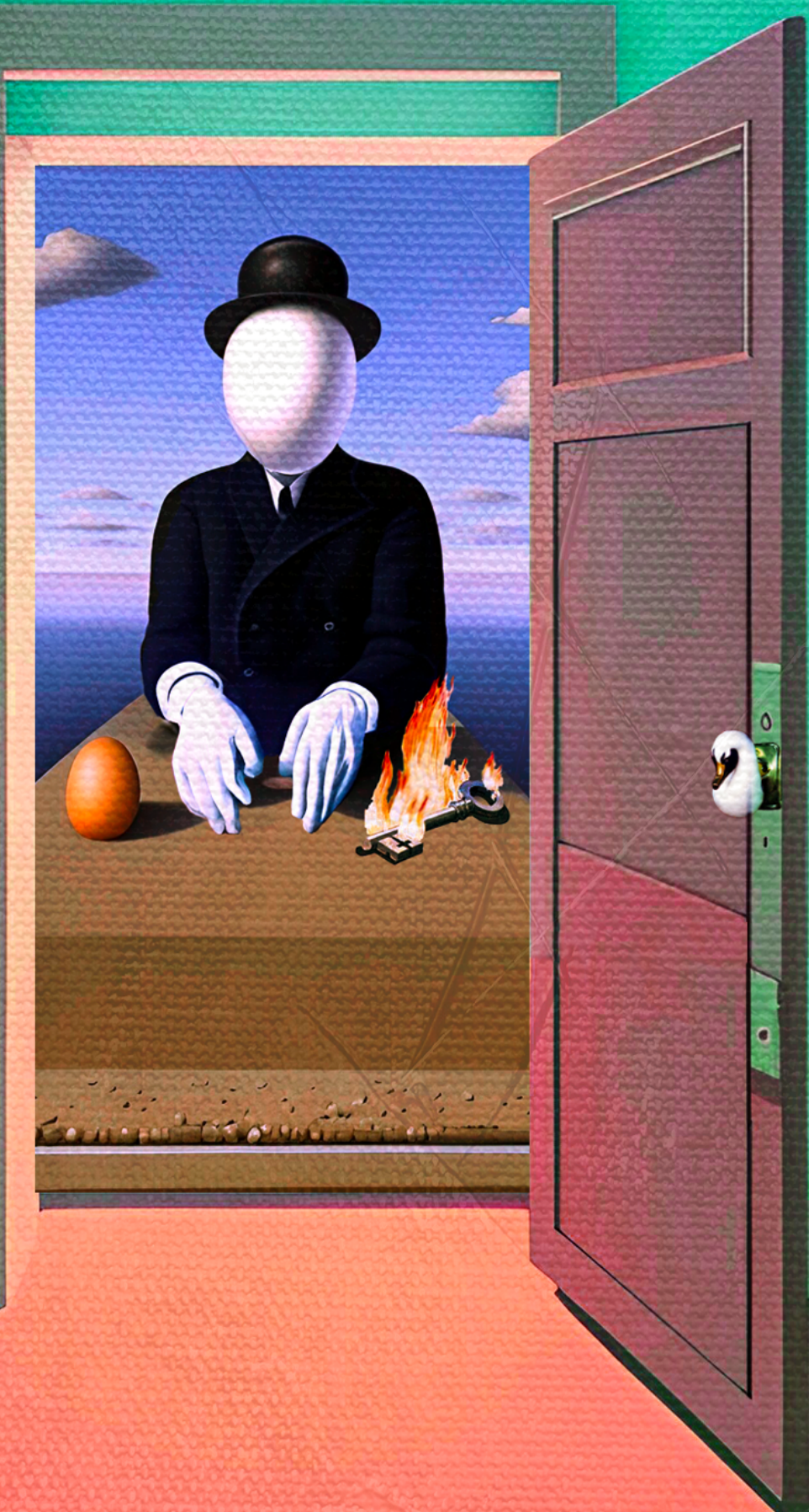


B	I	Z
ę	D	E
K	A	M
F	R	X
R	O	N

kornel\_mi  
kołajczyk





# BIZDEKAMERRON



KALENDARIUM

*Kornel Mikołajczyk*



*Oops, I did it again...*

Opowiadania, które przeczytacie w poniższym zbiorze, powstały z potrzeby pisania. Tym razem: w przerwie od świątecznych porządków, gotowania i planowania wyjazdów. Niezdolny zasiąść do komputera, maszyny do pisania czy kartki papieru, znów sięgnąłem po notatnik na komórkę, aby przez 10 dni opowiedzieć sobie (oraz docelowo – Wam!) 10 wyjątkowych historii. Telefon-zastępczak zepsuł się w połowie wyzwania, lecz nie powstrzymało mnie nawet to. Pamięć w wersji hardware zastąpiłem pamięcią w wersji wetware. Czyt. pisałem w głowie.

Tak powstał drugi **Bizdekamerron**. Zbiór opowiadań spod znaku **bizarro fiction**, skupiony na rokrocznym **kalendarium**. 2023 zapowiada się jako czas nowych wyzwań, więc aby go odczarować, nim rozpocznie się rytualnym straszaniem zwierząt, zapełniłem go zawczasu opowieściami. Liczę, że gdy je wspomnę, wywołają uśmiech na mojej twarzy, a może nawet zmuszą do refleksji. I Wam, drodzy Czytelnicy, życzę niniejszym tego samego, życząc przy okazji szczęśliwego nowego roku! Nieco późno, fakt, ale 100% szczerze.

A jeśli czujecie niedosyt dziwności, zapraszam serdecznie do śledzenia naszego portalu, **Niedobrych Literek**. Świątek, piątek czy niedziela, zawsze znajdziecie tam coś, co zaspokoi Wasze najcudacniejsze literackie żądze.

– KM

# I

## Hamptibombki na czubku siadł

### [Boże Narodzenie]

Hamptibombki nadział się na czubek. Nie spodobało się to Choincowi. Głównie dlatego, że czubek ów sterczał z jego ciała, a jemu marzyła się gwiazdka z nieba. W dodatku porno.

Z szelestem anielskich włosów wyraził sprzeciw.

Hamptibombki odpowiedział:

– Zawsze chciałem być nadziany jak indyk na Święta.

Na nic się zdały przekonywania, że miejsce bombki, zwłaszcza tak jajowatej i szpetnej, jest na niższych gałęziach. Na nic się zdało gniewne pobłyskiwanie czerwonymi lampkami. Hamptibombki tkwił tam, gdzie nadział się sprytem i przebiegłością: na szczycie Choinca. I czekał.

Posypał się śnieg. Każda Śnieżynka przybrała kształt \$. Okolica zabieliła się inflacyjnie. Przybiegło 500+ dzieci i ulepiło bałwana. Miał długi, długi nos. Gdy tylko rozbudziło się w nim życie, zaczął kłamać, kręcić i grać na nosie wszem wobec. Hamptibombki powtarzał jego łgarstwa 1:1 ze swej wysokiej mównicy. Bez myślenia, bez krytyki. To mile połechtalo ego bałwanka. Mianował sykofanta prezesem spółki i obsypał go miliardami dotacji. Hamptibombki kupił po taniości działki. Odsprzedał je z zyskiem narkomanom. Opium oślepiło masę. Wykryształowały się dwie klasy społeczne: Naćpani i Nadziani. Ci pierwsi kryształizowali metę w brudnych przyczepach. Ci drudzy kryształizowali drogocenne zapasy węgla w diamenty.

Nie minęło pół eonu, a Hamptibombki rozbłyszczał się jak kwazar. Pozostałe drzewka w zagajniku zazdrościły Choincowi takiej wierchuszki, takiej komitywy. Jednak markotnikowi nadal marzyła się gwiazdka z nieba. W dodatku porno. Cóż poradzić, czubek nie sługa.

Dlatego teatralnym gestem zerwał łańcuchy i zakrzyknął lampkami w alfabecie Morse'a:

– Patrzcie państwo, oto i on, nadziany jak indyk na Święta! Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy!

Goście przybyli latającymi talerzami, z pochodniami i widelcami. Nadziali Nadzianego na ząbki i rzutko wrzucili na ząb. Wolny od intruza-karierowicza, Choiniec nastawił czubek na Mgławicę Erosa. Wówczas przeżył szok. W każdym pikantnym filmiku, do którego dostrajał stroik, występowała znajoma postać. Nieco młodsza, mniej szpetna, lecz niezaprzeczalnie seksowna. To Hamptibombki był jego wymarzoną gwiazdką porno! A on nie zauważył tego, dopóki go nie utracił!

Nie zdołał udźwignąć żalu. Oddał się do tartaku i z rozpaczycy pociął na deski. Władze przeznaczyły je na budowę przytułku dla bezdomnych. Ze względu na szalejące podwyżki czynszu i mediów w innych dawno już pokończyły się miejsca.

## II

# Czarmageddon

### [Dzień Dziadka]

W drodze do domu Dziadek Wypadek skosił 14 przechodniów, 3 flamingi oraz 1 platońską jaskinię. Gdyby pykał na kompie w „Carmageddon”, wypykałby zapewne z milion punktów – zwłaszcza za tę jaskinię, bo wyjątkowo trudno zebrać na maskę ontologiczną alegorię rzeczywistości. Niestety, stary gieroj nie grał w starą gierę, toteż zebrał jedynie tęgi ochrzantus od wnuka.

– Tak dalej być nie może! – pieklił się Jacek Wypadek do żony, Zmywarki. – Szaleje, odkąd się do nas wprowadził! Czym duch zabierzmy mu prawo jazdy! Jeszcze zabije kogoś, kto się liczy, i cóż wtedy pocznem?!

– Hm, faktycznie, lepiej nie mieć *liczy* za wrogów. Znają naprawdę paskudne zaklęcia – przyznała pani Wypadek z wewnętrznym bulgotem niepokoju. – Jak niemniej zamierzasz tego dokonać? Dziadek kazał sobie zaszyć prawko na tyłku. Wytniesz mu je, kiedy będziesz go podcierać? Bo ja się tego syfu nie tykam, od razu mówię! Nawet tabletką przegródek po tym nie domyję. Brrr!

– Kotku-chrobotku – prosił Jacek. – No daj spokój, czemu nie? Kupię ci nabłyszczacz.

– *No means no!* – brzęknęła sztućcami.

– Dobra już, dobra. Zluzuj półmiski. Coś wymyślę.

Wymyślił gównno. Czyli „coś”, ale takie jakby gorsze. W tym czasie starszy pan zdążył pojechać do kościoła i ściąć po drodze 42 przedszkolaków z zajęczą wargą oraz figurę świętego Boromeusza, patrona chorób okrężnicy oraz bólu dupy.

Jacek Wypadek powiedział „dość”. Wzuł rolki i pojechał na drugi koniec miasta, do dziupli Dziecioła. Garowali kiedyś razem pod celą. Jacek, *nomen omen*, za wciskanie na pokazach garów naiwnym celom. Dziecioł – za

przyjmowanie zleceń na kradzież dowodów osobistych przed wyborami. Wiele moherów nie puściło w ruch długopisów dzięki jego szybkim rączkom.

Jako profesjonalista i nieresocjalizowalny recydywista, Dziecioł zgodził się podwinąć gatki Dziadka Wypadka i co za tym idzie, podwinąć mu prawo jazdy. Za odpowiednią opłatą, rzecz jasna. Ot, drobnostka, doprawdy. Nazbierało mu się w dziupli naczyń do umycia. Gdyby Jacula użyczył mu żonki na szybkie namydłanko i płukanko, sprawę można uznać za niebyłą. Ku zaskoczeniu mężczyzny, Zmywarka przystała na te warunki bez wahania. Jacek i jego mikre naczynka dawno już porządnie nią nie wstrząsnęły. A nuż tak postawnemu Dzieciołowi uda się postawić co nieco do pionu...

Program przeleciał zdecydowanie za szybko. Zmywarka uchyliła parujące drzwiczki, sapiąc ze słodkiego wysiłku. Dziecioł otarł pot z czoła i zakurzył szluga. Obserwowany podejrzliwie przez Jacka, prędko skiepował, po czym zabrał się do działania. Zrobił połyk białej piguły z krzyżykiem i w sekund pięć transformował się w białą pigułę typu Helga, uzbrojoną w końską strzykawkę. Bez pukania władował się do sypialni Dziadka Wypadka i zakrzyknął:

– Panie Dziadosławie, czas na pański zastrzyk!

Odruch zadziałał szybciej od rozumu. Staruszek obrócił się na brzuch i wypiął pośladki w oczekiwaniu na szprycę. Zatarłszy rękawiczki, Dziecioł ściągnął mu spodnie i przygotował się do borowania spróchnialca... lecz wtem zamarł. Na obrośniętej z rzadka włosiem prerii tyłka widniała przerdzewiała, poniemiecka tabliczka głosząca: „ACHTUNG MINEN!”.

O nie! Toż to istny poligon!

Dziecioł zaklął pod dziobem. W półświatku nauczył się jednak, że gęba to nie cholewa. Jak się wzięło zapłatę, trzeba wykonać zadanie. Nachylił się przeto i jął ciąć skalpelem wzdłuż zgrubienia bunkra, gdzie staruch najpewniej skitrał dokument. Szło mu całkiem nieźle. Aż do momentu, w którym poszło mu całkiem źle.

Eksplozja wyrwała Dziadka Wypadka z luźnych fałdów skóry. Rechocząc z uciechy, wyleciał przez okno i jako nowo narodzony licz-szkielektor ruszył

na najdłuższy „Czarmageddon” w swojej karierze. Wymazał z egzystencji 52 zagrożone wyginięciem gatunki, wszystkich rudych harcerzy na świecie oraz oryginał Mona Lisy, bo uśmiechała się zalotnie, a potem zgrywała niedostępną zza pancernej szyby. Kiedy w mieszkaniu opadł kurz, Jacek odkrył, że został sam. Zmywarka odłączyła się od prądu i wody i uciekła, by zaszyć się z siostrą Helgą Dziecioł w jej pielęgniarzkiej dziupli. Mężczyzna wskoczył na rolki i sunąc radośnie, udał się na ulicę Platona, gdzie od półtora roku spotykał się potajemnie z młodziutką Pralką. Wprowadzenie Dziadka pod małżeński dach okazało się bezbłędnym posunięciem. Nareszcie rodzinka Wyпадków była wolna.



### III

## Saneczkarz Bambo na Afrytce mieszka

[Ferie zimowe]

Na ferie rodzice postanowili wysłać Bambo na Ziemię.

– Może jak mu chłód do dupy zajrzy – pomstował ojciec – nauczy się wreszcie pokory!

Spakowali synka do walizki wielkości chusteczki i zawieźli na kosmodrom. Z planety Afrytka kursowały tam kosmodromadery. Gromadziły w garbie ciemną materię i przetwarzały ją na paliwo do podróży międzygwiazdnych. Bambo wdrapał się do gardzieli tego z destynacją „ZIEMIA” przypiętą do kolczyka na jądrach. Odwrócił się, by pomachać rodzicom spomiędzy szczęk, lecz ci już dawno zniknęli. Chwilę później z donośnym GLUP! przełknięcia zniknął i on.

Wielbłąd wydalil go na zboczu ośnieżonej Górki. Ziemniackie dzieci zjeżdżały z niej sankami na wyścigi, po każdej gonitwie przekazując zwycięzcy przechodni złoty puchar. Bambo natychmiast podbiegł przyłączyć się do zabawy, jednak został brutalnie wyśmiany i odrzucony. Nie ze względu na kolor skóry, broń Boże! Po prostu jak każdy Afrytkanin nosił na szyi porcję frytek, podczas gdy Ziemniacy chełpili się dorodnymi głowami-bulwami.

Paskudna Ziemia. Czemu rodzice nie wysłali go w Puréeneje? Ludzie mieli tam swoje *utarte* schematy, ale z pewnością nie traktowali obcych w tak obcesowy sposób!

Odszedł jak niepyszny (mimo że nadal pyszny z solą i keczupem). Długo błąkał się w zamieci, tocząc tłuste, fryturowe łyż. Na skórcie osiadł mu szron. Wicher wyrwał z ręki miniwalizeczkę. Przyzwyczajony do gorąca jak w piekarniku, opadł z sił i wkrótce zemdłał.

Obudził się na farmie wdowy, Leokadii Szklarskiej-Poręby. Z przyjaznej, obłej pyry wystawały jej pędy wskazujące na podeszły wiek. Kobięcina nakarmiła go do syta i pokazała farmę. Okazało się, że hoduje bobsleje.

Olimpijskie czempiony prima sort aż rwały się do wyścigów! Głaszcząc je po poszyciu, Bambo opowiedział o tym, jak chłodno został przyjęty na planecie. Rodzice nie dbali o niego i wysyłali tam i sam po kosmosie, byleby mieć go z głowy na parę tygodni. Pani Lodzia wysłuchała tego ze smutkiem. Wspomniała swojego brata, Leopolda. Matula i tatulo również traktowali go jak powietrze, a młode Ziemiaki na podwórku dręczyły bezustannie. Ulitowała się przeto nad biednym Afrytkaninem. Pozwoliła mu wejść do zagrody bobslejów i obserwowała uważnie. Bolidy łaściły się do niego stadnie. Niemniej jeden srebrzysty dwuroczniak wydawał się najsilniej zainteresowany. Zgrzytał wesoło płozami i merdał spojlerem. Szklarska-Poręba postanowiła podarować go Bambo, aby dał popalić dzieciakom na stoku. W imię wszystkich gnębionych i uciśnionych, którym kiedykolwiek odmówiono beztrioskiej zabawy.

Chłopiec i jego bobslej ruszyli w drogę powrotną. O świcie dotarli na Górkę. Ziemiaczątka zbierały się właśnie do pierwszego wyścigu. Bambo podbił do największego prześladowcy i bez wahania wyzwał go na pojedynek. Wyrostek zbladł na widok olimpijskiego czempiona, lecz zbył obawy śmiechem i żartami. Fryciarze nie wiedzieli przecież nawet, co to śnieg! Jakże Bambo miałby pokonać go w zimowych zawodach?

Ustawili się na linii startowej. Afrytkanin kipiał gniewem. Nie umknęło to uwadze jego pojazdu. Dostrojony do emocji swego pana, ściągnął zbierane latami rozpacz, nienawiść i frustrację. Dlatego gdy wybrzmiał sygnał, bobslej ruszył na rzeź. Jego płozy szatkowały bulwę za bulwą, bezlitośnie i z chirurgiczną precyzją. Zrzucił z siebie Bambo i jął wirować wokół własnej osi, generując wysokie temperatury. Gwałtowny efekt cieplarniany roztopił śniegi, a palące słońce wysmażyło głowy poturbowanych dzieci na frytki. Teraz wszyscy wyglądali tak jak Bambo. I nikt już nie śmiał się z nikogo.

Rodzice przepędzili z domów swe oszpecone, płaczące pociechy. Bambo zaprosił je w związku z tym na Afrytkę. Przywołali wielbłąda i przez jego międzywymiarowe ucho igielne przeszli na kosmodrom. Tam założyli wolną

od dorosłych komunę i mordowali każdego powyżej 15 roku życia, posypując go solą i maczając w keczupie. *Mmm, I'm lovin' it!*

A srebrzysty bobslej-terraformator? Ten ostro trenował i po wielu, wielu latach, na olimpiadzie, poprowadził do zwycięstwa drużynę Yamajki. Na podłużnych korzeniach głów Yamajczyków nie gościły tak szerokie uśmiechy, odkąd upalili się na wykopkach ze słynnym pyrsenkarzem, Bulwem Marleyem.

## IV

### Contra me

#### [Idy marcowe]

Babarazzi napadły na Idę Marcową, gdy tylko wyszła z ostrzenia u kosmetyczki.

– Ubrałabyś się, dziecko, cieplej; taszkę ci przewieje i zapalenie pęcherza gotowe.

– Wilka złapiesz w takiej krótkiej spódnicy, nie męża. Wstyd!

– Kto wygra w ten piątek, pani Ido? Pani czy Kuchcik w Masce? Czy umie pani szatkować, czy tylko dźgać, hm?

Sztylecica westchnęła z głębi zbrocza. Odkąd media zaczęły zatrudniać członkinie monitoringu osiedlowego w charakterze gonzo-reporterek, nie szło się opędzić od ich wścibskich pytań, porad i przepisów na serniczek. Czy to doprawdy jej wina, że była najbardziej znaną klingą na świecie? Od 44. roku p.n.e. minęły tysiąclecia, a jednak nadal kojarzyła się ludziom wyłącznie ze śmiercią Cezara.

– Wygram bez dwóch zdań – odparła lakonicznie. – Tytuł Majsterszefa jest mój. I żaden zamaskowany pretendent mi go nie odbierze.

Jelcem przepchnęła się między babami i wsiadła do szpaksówki. Lecąc ponad miastem na skrzydłach ptaka, wspominała chwile, które przysporzyły jej tak wielkiej niesławy.

\*\*\*

Kiedy Brutus przy jej pomocy zamordował swego kompana, Julka, Ida była młoda, naiwna i potrzebowała pieniędzy. Zgodziła się zostać współwinną zdrady, aby wyjść z biedy. Zrobiła to dla siebie i dla swojej rodziny. Wykorzystano ją jednak i porzucono jak każde narzędzie, gdy tylko straciła użyteczność. Całe wieki przeleżała w ziemi, dopóki nie odkrył jej

młody archeolog z Polski. Ich burzliwy romans stał się tematem wielu plotek. Zyskała rozpoznawalność. Z czasem zaczęło ją niemniej męczyć to, że ludzie znają ją wyłącznie ze skandali: kogo pchnęła w plecy, kto zatykał jej pochewkę. Żar namiętności wypalał się z każdym rozdmuchanym przez babarazzi artykułem na portalu Elemelek.pl. Wkrótce rozstała się z ukochanym, by skupić się na karierze. A że zawsze dobrze się czuła, ciachając warzywa i owoce, wybór padł na kuchnię.

Tak oto, odcinek za odcinkiem, dojrnęła do finału Majsterszefa. Jej przeciwnikiem: tajemniczy Kuchcik w Masce.

\*\*\*

Finał nadawano na żywo na oczach milionów widzów. Kandydaci do pucharu czekali przy stanowiskach. Pośrodku: zasłonięte płachtą podium z dzisiejszym składnikiem przewodnim. Komisja w składzie. Robert M. i butelka mandarynkowego piwa. Michel M. oraz zestaw eleganckich noży. Magda G. w towarzystwie musztard i koszyka przypraw. Przypomniano sylwetki zawodników, puszczono reklamy. Wreszcie wybrzmiał sygnał i zerwano przesłonę. Łopatka z wapiti. Mięso rzadkie i delikatne. Wyzwanie godne prawdziwego Majsterszefa.

Ida Marcowa zabrała się do krojenia. Cebula w pióra, marchewki w plastry, główki czosnku na połówki. Jej ostrze świszczało z mistrzowską precyzją. Zamarynowała mięso w mieszance curry, kardamonu, białego pieprzu i szafranu; wstawiła z warzywami do piekarnika. Jednak przez cały czas czuła na sobie spojrzenie rywala. Wodził za nią wzrokiem przy byle okazji, wykrawając z łopatki małe kawałki i podsmażając je na grillowej patelni. Wszystko wskazywało na to, że przygotowuje sałatkę Cezar.

Kiedy brzęczyk oznajmił, że został im kwadrans, Kuchcik w Masce niespodziewanie odsłonił oblicze. Publiczność wstrzymała dech. Ida zamarła nad sosem demi-glace, w sekundę rozpoznając ów krzywy uśmiezek.

Marek Juniusz Brutus. Jakim cudem ten skurwiol nadal żył?!



– Jesteś *moim* sztyletem – zawołał do przeciwniczki. – Nie zapominaj o tym, dziwko. Należysz do mnie.

Marcowa zakłęta i wróciła do gotowania. Chwila nieuwagi i sos do niczego. Zaczęła od zera. W umyśle: szaleńcza gonitwa.

To on, Brutus. Jej prześladowca. Powrócił, by z nią wygrać, ostatecznie upokorzyć. Udowodnić, że nie nadaje się do niczego poza zabijaniem. Jak mogła wygrać z kimś tak mściwym i zawziętym?

Zajrzała w głąb siebie. Ani Brutus, ani jej wieloletni partner, archeolog, nie mieli pojęcia o tym, co skrywała w sobie. Wygadała się tylko raz, pewnemu szpaksówkarzowi, po pijaku. Kochany ptasi pilot zachował to dla siebie. Nie usłyszała o tym żadna babarazzi, żaden Elemelek. Teraz dyskrecja mężczyzny okazała się cnotą na wagę złota.

Naprężając metal, odkorkowała zbiorniczek w najgłębszej głębi swego klejnotu. Nachyliła się. Tłusta, czerwona kropla skapnęła ze sztychu wprost do gęstniejącego sosu.

\*\*\*

Jako pierwszego sędziowie posmakowali dania Brutusa. Pochwalili chrupkość sałaty (rzymskiej, naturalnie), świeżość grzanek oraz domowy dressing. Szczególnie zachwycony wydawał się Robert M., choć wpływ na to mogły mieć opróżnione przezeń butelki sponsorowanego IPA.

Tyranobójca wyszczerzył się perfidnie do sztylecicy. Zrozumiała przekaz.

Przegrałaś. Nie uwolnisz się od mojego cienia. Przenigdy.

Ida postawiła przed jury trzy parujące talerze pieczeni. Proste dodatki, dbałość o smak i kruchość mięsa oraz sos pieczeniowy na bazie wytopionych z wapiti soków – tym zamierzała zwyciężyć. To znaczy: zanim Kuchcik w Masce okazał się psychopatą. Teraz liczyła już tylko na efekt dojrzewającej w niej od tysiącleci przyprawy.

Magda G. paplała coś o polskich smakach. Wnet urwała. Powstała w synchronizacji z pozostałymi. Źrenice zwęziły im się do wielkości szpilek. Wyszarpnęli po nożu z zestawu Michela M. i obrócili się ku Brutusowi.

– Cóż to? – parsknął, rozbawiony. – Danie Idy aż tak nie smakowało, że pasujecie mnie na Majsterszefa bez oficjalnego werdyktu?

Jurorzy zaczęli go okrzykiwać.

– Ej, to nie jest zabawne! – zaprotestował.

– Ależ jest – nie zgodziła się Ida Marcowa. – Widzisz, tamtego feralnego dnia w Teatrze Pompejusza kropla krwi twojego kumpla, Juliusza, spłynęła mi między źle spasowane ostrze a taszkę. Od tamtej pory fermentowała we mnie pragnieniem odwetu, którego myślałam, iż w życiu nie dostąpi. Na szczęście się pomyliłam. Powróciłeś, by pokazać mi moje miejsce. Ale to ja pokażę ci twoje.

Znani kucharze dopadli do Kuchcika. Wznieśli noże i zakrzyknęli unisono:

– *ET TU, BRUTE, CONTRA ME!*

Pięć minut później z niegdysiejszego męża stanu zostało już tylko mięso. Kiedy Robert M., Michel M. oraz Magda G. otrząsnęli się z transu, Ida kończyła właśnie montować maszynkę do mielenia. Ostatecznie – jak wyjaśniła przed kamerami – stacja-matka promowała ideologię *zero waste* i nic się nie mogło zmarnować; a i widzowie w studio chętnie zjedzą pieczeń rzymską przygotowaną przez najnowszą Majsterszefkę. Prawda?

## V

### Aż poleje się woda

[Śmigus-dyngus]

Śmigus i Dyngus w jednym stali domu: Śmigus na górze, Dyngus na dole. Dyngus zazdrościł Śmigusowi, że brat śmiga beztrudnie przez życie, śmiga drogimi autami z zagranicy, śmiga po korporacyjnej drabinie w pracy, śmiga laski z wielkimi balonami. Wiecznie ponad nim jak złośliwy zeppelin, wiecznie lepszy. Dlatego pewnej nocy zakradł się na piętro i przekłuł nadmuchany balonik jego ego, przekłuwając przy okazji balonik ciała.

Słyszał na biologii, że człowiek składa się z wody i gumy, lecz nie spodziewał się, iż z zamordowanego chluśnie takie tsunami. Woda życia zalała łóżko. Spłynęła na perski dywan z perskiego kota. Podłoże rozmiauczało się w proteście. Skrzeczało i prychało jak zarzynane, nie mogąc znieść wilgoci. Dyngus musiał uciszyć także i tego niewinnego świadka. Zawinał zdechły dywan w dywan i wyniósł na śmietnik. Następnie z ulgą położył się spać na parterze. Jutro posprząta bajzel. Zetrze resztki brata brudną szmatą – jakże adekwatnie! Nie dowie się nikt.

Jednak gdy o nieludzkiej porze 14:30 wspiął się po schodkach i otworzył drzwi kluczami Śmigusa, odkrył, iż woda wyparowała. Zebrała się u sufitu w ciemną chmurę grożącą nawałnicą. Dyngus capnął z korytarza miotłę z witek brzozy smoleńskiej i zamachnął się, by przepędzić intruzkę. Od zamachu owego – ponieważ BYŁ TO ZAMACH – kondensacja zawirowała apokaliptycznie i trzasnęła piorunami. Obawiając się pomsty zza grobu, Dyngus czym prędzej uciekł na dół.

Następnych kilkanaście półdób spędził na zamartwianiu się o los swych balonowych półdup. Słyszał nieustający szum deszczu nad głową. Zawodzący wichur, który zdawał się pytać: „Dlaczeeeegooooo?”. Wokół żyrandola rosła coraz większa i ciemniejsza plama grzyba. Odnosił wrażenie, iż zarodniki osadzają się w jego organizmie, mącą zmysły.

Odważył się zajrzeć na piętro dopiero siódmego dnia. Natychmiast zamarł na progu. Woda życia zrodziła nowe życie. W zamkniętym na głucho mieszkaniu wytworzył się zamknięty obieg wilgoci. Ogołocona podłoga przemieniła się we wszechocean. Meble – w kontynenty obrośnięte mchem i roślinnością. Krążyły wśród nich małe istoty. Nad kominami chat zbudowanych z bibelotów kłębił się dym.

Dyngus rozdziawił ustnik. Gorące bąbelki furii uniosły go niemal pod żyrandol słońca.

Nawet po śmierci Śmigus osiągnął więcej od niego. Stał się ojcem cywilizacji. Bogiem, który oddał żywot, by narodzili się inni!

Wściekły, Dyngus pomaszerował do siebie, by odszukać pałkę teleskopową z Teleskopu Hubble'a. Zamierzał roznieść w gwiazdny pył ostatnie osiągnięcie brata, tak by nie zostało po nim nawet wspomnienie! Lecz gdy przewalał szpargały w salonie, obciążony sufit nad nim stęknął, zaskrzypiał, a potem zarwał się z dziejowym hukiem. Tynk zmiażdżył balonowego ludka i tym sposobem Dyngus dołączył do Śmigusa w aerostatycznych zaświatach.

Członkowie nowego ludu nie znali ich imion i nigdy nie poznali. Z wykopalisk archeologicznych, stulecia później, dowiedzieli się jedynie, iż Obiekt A mieszkał na górze, Obiekt B zaś na dole. Nazwali zatem oba byty adekwatnie do swych wierzeń i opowiadali o nich taką oto historię:

Deus i Kosmateus w jednym stali domu...

## VI

### Skarb pośladów

#### [Dzień Niepodległości]

– Okej, któraś z tych szyneczek musi należeć do Nixona – oznajmił Nicolas Cage, gdy zatrzasnęły się grodzie Departamentu Tajemnic. – Pytanie tylko która?

Pszczołka Maja zabzyczała niespokojnie, rozglądając się po magazynie prezydenckich zadków. Zgodziła się zakraść do Strefy 51 jako cyberspecjalistka w nadziei, że dołącza do profesjonalnej ekipy rodem z „Ocean’s 11”. Ewentualnie „12” czy „13”. Tymczasem okazało się, że ktokolwiek kompletował skład, naoglądał się po prostu masy bajek i pomylił fikcję z rzeczywistością. Rumcajs, naprawdę podstarzały gej, nie dał nawet rady ochroniarzowi: glutofakowi z grupą inwalidzką. W kluczowym momencie zawiodła go pukawka. Krecika bardziej od zagłądania na dno podkopu interesowało zagłądanie na dno butelki, przez co nadział się pod ziemią na kwaśną minę. Z kolei Pomysłowy Dobromir owszem, wpadł na genialny pomysł ominięcia laserów poprzez transformowanie włamywaczy w byty subwymiarowe (i to przy użyciu szyszki, bimbru dziadka oraz czterech paczek żelków robaczków), lecz przy windzie pomylił czerwony guzik z zielonym i wsiadł do przemysłowej niszczarki. Pieprzony dalton. Z koszmarnego *dream teamu* ostała się wyłącznie Maja oraz wiecznie naćpany Nic, którego ktoś wziął za postać ze „Skarbu Narodów”. Chociaż... kradzież Deklaracji Niepodległości to jedno. Wyciąganie państwowych sekretów z okrzęznicy byłego prezydenta – ooo, to już zupełnie inna para lateksowych rękawiczek.

– *Alright, alright.* – Cage wciągnął ścieżkę z gigantycznego półdupka Williama Tafta i rozejrzał się po składziku żrenicami jak srebrne dolary. – Jak ich tu ustawili? Co? Co? Alfabetycznie? Analfabetycznie? Szyfrem



Templariuszy? Kodem da Vinci? Gdzie Nixon, na lewo? Na prawo? W górę i w dół?

– Myślę, że panuje tu porządek chronologiczny względem lat urzędowania? – zachnęła się Pszczółka. – Chodź, tędy. Chyba widzę jakieś światełko w tunelu.

– Hahaha, światełko w tunelu, czaisz? Anus!

Nie zaszczycała tego nawet przewróceniem fasetowymi oczami.

Kroczyli wzdłuż półek od najstarszych do najnowszych *POTUS*. Niestety, w miejscu, gdzie powinny się znajdować pęknięte plecy Richarda Nixona, między bladziocem Johnsonem a krościatym Fordem, leżała dupna przyzma.

Sprawdzili etykiety. Cztery litery należały do najprzeróżniejszych Richardów, Ryszardów, Ricków i Dicków usypanych tu dla zmyłki. Cheney, Gere, Lwie Serce, Rynkowski, Attenborough, Pryor. Załapał się nawet Ringo Starr, a ten nie łapał się na nic.

– *It's a huge pile of Dick!* – skomentował wściekły Nicolas Cage i zaczął ciskać rzyciami o ścianę.

Raju, Maju, czy aż tak mu zależało na tym durnym/dupnym zleceniu?

Pszczółka odleciała kawałek dalej, by się zastanowić.

*Hm. Gdybym pracowała w Departamencie Tajemnic i chciała ukryć siedzenie pełne rządowych sekretów, czy wywoztałabym je na drugi koniec kraju? Nie. Skisiłabym je na widoku. Centralnie pod nosami zainteresowanych, ale żeby nikt się nie pokapował, skąd dobywa się smrodek.*

Podfrunęła do sempiterny Geralda Forda i żądełkiem podważyła plakietkę. Odeszła gładko, odsłaniając nazwisko „Richard M. Nixon”.

Uśmiechnęła się z satysfakcją. Forda nie wybrał lud, a poprawka do konstytucji po impeachmentie Nixona. Zgodnie ze standardami Departamentu Tajemnic, nie zasługiwał, by znaleźć się w hali pamiątkowej. Idealnie nadawał się za to na przykrywkę.

– Tej, Coppola! – zawołała. – Sugeruję ci „Zostawić Las Vegas” i przyciągnąć tu swój „Nieznośny ciężar wielkiego talentu”. „Dwa miliony dolarów napiwku” dla mnie. Odnalazłam naszego prezydenta.

\*\*\*

Ramię Nicolasa Cage'a włożyło aż po łokieć w tyłek Richarda Nixona. Dokładnie między połówki brzoskwinki. Aktor stęknął, poszarpał się chwilę z pośladkami, a potem zarechotał triumfalnie. W jego palcach zalśnił srebrzysty pyłek. Spoczywał w strunowej torebeczce.

– Co to ma być, do ciężkiego trutnia? – zapytała skołowana Pszczółka Maja. – Gdzie bezcenne rządowe sekrety?

– To jest rządowy sekret.

– Dragi?

– Nie byle jakie dragi, moja droga. Dragi, drogi, droga, dragi – machnął naprędce ćwiczenie wymowy. – Widzisz, Nixon jak każdy prezydent potrzebował wroga, więc wypowiedział wojnę narkomanii. W duchu amerykańskim leży zaś, ażeby antagonistę stworzyć i zdemonizować na własną rękę. Ot, samowystarczalny z nas naród. Dlatego w tajnych laboratoriach FBI opracowano to. – Potrząsnął woreczkiem. – Hiperkokainę. Święty Graal ćpunów całego świata. Teraz nareszcie jest moja. *My precious...*

– To ty nas wynajęłaś! – dotarło do niej.

No tak, dlaczego nie wpadła na to wcześniej?! Przecież jako jedyny z ekipy Cage nie występował w starej wieczorynce!

– Dziewczyno, wierz mi, skok na Strefę 51? Pikuś. Nie takie rzeczy robiłem, żeby zdobyć działkę. A teraz suwaj odwłok. – Odpieczętował opakowanie. – Będziemy aplikować!

Odkąd ugrzęzła za młodu w pajęczej sieci Tekli, Maja nienawidziła być oszukiwana. Po tamtym wydarzeniu dowiedziała się o sieciach wszystkiego, co możliwe, dzięki czemu z biegiem lat została cyberspecjalistką. Ale czasem, by osiągnąć odpowiednie rezultaty, wystarczy być nie hakerką, a pszczołą.

Z dzikim rykiem rzuciła się na Nicolasa i zaaplikowała mu nie wymarzoną działkę, a żądło. Gwiazdor filmowy padł trupem na miejscu. Kłopot w tym, że podczas ataku Maja przebiła przypadkiem woreczek i

cząsteczki hiperkokainy osiadły na jej włoskach. Niczego nieświadoma, powróciła za ocean 11, 12 i 13, do swojego ula.

Tyle dobrego, że forszę za tę farsę pobrała na konto z góry.

\*\*\*

Tego dnia prezydent Stanów Zjednoczonych wstał z łóżka z ogromną chrapką na mleko z miodem. Kazał zagotować sobie galon ściągnięty z cyca ostatniej żyjącej bizonicy na świecie, przetrzymywanej w Strefie 51. (Inne bizony dawno już zastąpiono robotami, ale o tym ćśśś! przed Indiancami). Spod biurka wydobył słoik miodu podarowanego mu przez polskiego prezydenta tuż przed jego mumifikacją. Produkt pochodził ponoć ze słynnego telewizyjnego ula, a TV to w USA świętość AF. Zgarnął solidną łychę słodkości i rozmieszał ją ze swym ulubionym kożuchem.

Wkrótce po wypiciu zaczęło go nosić. Zadzwonili pranksterzy z Rosji, podając się za Nelsona Mandelę. To wpieniło go nie na żarty. Szubrawcy dryndali też bez przerwy do Polaków, a to byli tacy mili ludzie. I podarowali mu ten przepyszny, pobudzający miodek. Neeee, dość tego, dośćdośćdość!

Wydobył kody atomowe i odpalił głowice. Na niebie zaroilo się od plutonowych fajerwerków. Lepszego czwartego lipca nie potrafił sobie wyobrazić. Bo jeśli wylatywać z urzędu, jak mawiał Nixon, to tylko – z hukiem!

## VII

### Kocina Wó

#### [Rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego]

Codziennie o 17.00 pracownicy Dziurowca tłumnie opuszczali budynek, zakończywszy walkę z papierami.

Codziennie o 17.00 Kocina Wó samotnie wkraczała do Dziurowca, by rozpocząć walkę z Prusakami.

Ktokolwiek postanowił urządzić przestrzenie korporacyjne w największym w stolicy kawałku szwajcarskiego sera, ewidentnie nie przemyślał sprawy. Robactwo legło się legionami. Świątek, piątek czy owocowy czwartek, Kocina Wó miała pełne łapy roboty. Miotacz płomieni rzygał ogniem non stop, roztopiając ser w ser topiony i zapiekając w nim szkodniki. Pieczeń z Prusaka w serze – mmm, psychotka rodem z Majsterszefa! Pracownicy na drugi dzień zajadali się nimi w kantine. Ale ileż można powtarzać te same czynności? Rutyna zabija powoli. Rutyna rodzi niepotrzebne ciągoty. Kocinie Wó marzyło się nowe zlecenie. Niemniej szef zakładu dezynsekcyjnego, jak na złość, nie pozwalał jej odszukać gniazda tych zeswastycznych pierdolców. Lepiej, kiedy wierchuszka Dziurowca płaci za regularną usługę. Gdyby rozwiązali ich problem raz na zawsze, straciliby źródło zarobku, prawda?

Prawda.

Prawda.

Nieprawda!

Tego dnia miała już serdecznie po czubki wąsów słuchania rad innych. Mijał piąty rok jej pracy; piąty rok, odkąd odrodziła się jak feniks i pokusa była zbyt silna. Bawiąc się medalikiem z cyfrą 5, który dostała poprzedniego wieczora na spotkaniu, rozważała opcje. Prusaków zawsze znajdowała najwięcej w lobby. Im wyżej, tym mniej. Wydedukowała przeto, że dostają się do środka poprzez podziemny parking.

Zgarnęła sprzęt i zjechała na poziom -2. Z zaskoczeniem stwierdziła, że naprzeciwko windy znajdują się schody wiodące jeszcze niżej. Zeszła do jaskini. Ser cuchnął tu jak stara francuska onuca. Oświetlając sobie drogę płomieniem i eliminując po drodze rzesze Prusaków, zanurzała się głębiej i głębiej w powłóce Ziemi.

Wtem – światłość. Zajrzała do pieczary oświetlonej lampami z lawą. Przestrzeń wypełniały skradzione przez nazistów dzieła sztuki, łącznie ze Złotym Pociągiem oraz Bursztynową Komnatą przerobioną na wygodkę. Na ludwikowskiej kanapie zasiadał znany zbrodniarz wojenny, Bobremszturchankiller Helmut Zahn. Wpatrzony w karty powieści „Honor germańskiego bobra”, czochrał bez honoru swego germańskiego bobra wywalonego na wierzch z rozporzka munduru. Doszedł ze stęknieniem. Z mikrej kuśki wycisnął jednak nie nasienie, a Prusaka. Ów porwał miniaturowy karabin i defiladowym krokiem ruszył na podbój powierzchni. Kanałami, jak ongiś powstańcy.

– O żeż ty w ząbek czesany, bobrem szturchany fiucie Helmucie – zakłęła Kocina Wó, mierząc do gestapowca, którego rozpoznała ze zdjęć w muzeum. – To tyś jest zarzewiem tego robactwa!

Bobremszturchankiller nawet nie przerwał. Przerzucił nonszalancko stronę książki i powrócił do bicia Niemca po hełmie.

– Ha. Możecie odbudowywać swoją *liebchen Warschau* serowymi Dziurowcami, Drapakami Kur, Pałacami Kalafiora i Bułki. Ha. My i tak zwyciężymy.

– Nie jeśli usmażę cię jak frankfurterkę – zagroziła, gładząc palcem spust.

– Litości. – Prychnął. – Myślisz, że tylko ja zszedłem do podziemi, gdy skończyła się wojna? Ha!

Machnął w kierunku zabytkowej Enigmy stojącej na kapitańskim biurku z Titanica. Nadawała wiadomość. Ledwo zakończyła wydruk, zapaliła się lampka obok i przybył raport z odmiennego źródła.

Kocina Wó zastrzygła wąsami i uniosła dyszę.



– Nie dbam o to – zamruczała. – Twoje Prusaki wystarczająco już napsuły. Każdego dnia wstępuje na barykadę i palę jednego za drugim, bez końca. To za dużo jak na główkę małej kociny. Giń, szwabiksie!

Bobremszturchankiller Helmut Zahn spłonął wraz z całym swoim skarbem. Nie ostał się po nim nawet ząbek.

Kocina Wó zdała sprzęt do centrali i wróciła do domu. Tam siadła nad kuwetą i długo dumiała. O innych budynkach, gdzie legło się robactwo. Skąd egzorcyci co wieczór zdejmowali klątwy. Gdzie szalały żywioły, jakby ktoś w podziemiach otworzył Arkę Przymierza. Wszędzie tylko oni, oni, oni. Nazistowskie duchy infrastruktury. Nie do wyplenienia ogniem ni ołowiem.

Nie wytrzymała. Po pięciu latach trzeźwości złamała się. Zerwała z szyi medalik, zeszła do wódopoju pod sklepem i wykupiła setkę. Wylizała miseczkę czystej do czysta. Potem zamówiła drugą kolejkę. I następną, aż zawirowało jej w głowie, aż zniknęły problemy.

Nie potrafiła z tym dalej walczyć. Bo niby jak? Zło nigdy nie umiera. Czai się jeno i przybiera inną postać, zmienia strategię. Jednak prędzej czy później zawsze wypłynie na powierzchnię. I gdy to uczyni, skazi wszystkich, którzy mieli nieszczęście kiedykolwiek się w nim babrać.

## VIII

### Cisza w bloku

#### [Dzień Edukacji Narodowej]

Blok nr 631 się uczył. Żaden z mieszkańców nie wiedział, kiedy zainicjował się ów proces. Konstrukcja z wielkiej płyty słuchała każdego dnia rozmów, kłótni, śmiechów, płaczu, dialogów rodziców i dzieci przy odrabianiu lekcji, księży szepczących ostatnie modły nad chorymi, bełkotów pijanych kumpli przy kieliszku. Aż wreszcie zaczęła rozumieć.

Wraz ze zrozumieniem przyszedł rozwój. Naraz w miejscu placu zabaw dla dzieci oraz wiaty ze śmieciami wyrosły nowe klatki-plomby. W ich wnętrzu: świeże komórki mózgowie w formacie M-3. Spółdzielnia omal się nie obśliniła na myśl o zastrzyku forsy z dodatkowych najemców. Niestety, okazało się, iż lokale są zajęte. Osiągnąwszy bowiem zdolność abstrakcyjnego myślenia, 631 rozważał coraz to nowe koncepcje. Był jednak przy tym jak dziecko. I podobnie do wielu dzieci zyskujących dopiero świadomość najbardziej fascynowały go dinozaury bądź autka. Najlepiej: oba.

Jako pierwsi przekonali się o tym Dziadkowie Jagody. Ruszyli jak zawsze na obchód osiedla, pukając do drzwi i wciskając sąsiadom foldery, broszury i książeczki o tym, jak wspaniała i słodka jest ich Jagodka i czemu należy ją wielbić, jeśli nie chce się trafić do Piekła (tj. do piwnicy, gdzie dokonywali agresywnych konwersji z udziałem obcęgów i noży). Tego dnia zdziwiła ich obecność dodatkowej klatki w bloku 631, lecz niezrażeni ruszyli krzewić jedyną słuszną wiarę. Zapukali do drzwi opatrzonych numerem  $\sqrt{13}$ .

Otworzył im TIR-Rex. Zaryczał z głębi silnika i rozjechał na śmierć wszystkich Dziadków Jagody sterczących na wycieracze.

Nie minął tydzień, a TIR-Reksy zaczęły blokować wyjazdy, wykręcać na upartego w ciasnych uliczkach czy pauzować przed garażami. Po ośce krążył do tego niebezpieczny gang motocyklistów. Przegryzały baki i żłopały paliwo, po czym, pijane oktanami, demolowały parkowe zestawy do ćwiczeń

oraz hotele dla pszczoł. Z przewodów kominowych cuchnęło niemożliwie, gdyż dieslodoki uparły się, by palić w domu. Na nic się zdały prośby, groźby i apele. Ogromne technogady pozostawały nieeksmitowalne. Zresztą, nawet gdyby udało się je formalnie wysiudać, jak precyzyjnie ich cielska przez framugi?

Na spotkanie lokatorów zawezwano psychoarchitekta. Po dogłębnym zbadaniu sprawy spec z przykrością rozłożył ręce.

– Dorastający budynek musi się czymś bawić, proszę państwa. To tylko faza, proszę państwa, każdy z nas je przechodzi. Wystarczy przeczekać, aż wyrosnie z tych dinozaurów i autek, proszę państwa. Wtedy odetchną państwo, proszę państwa, ze spokojem. Ostatecznie, parafrazując stare afrykańskie porzekadło, do wychowania Bloku potrzeba całego bloku. Prawda, proszę państwa?

Panowie przeklinali po cichu dzień, w którym wprowadzili się do męskiego bloku. Gdyby trafił im się żeński, może obok zakwaterowałyby się lale Barbie i kucyki Pony. (Ta druga opcja nęciła podejrzenie wysoki odsetek). Tak czy owak, pozostało jedynie uzbroić się w cierpliwość. I nauczyć się żyć obok szalejących TIR-Reksów, motocyklistów i dieslodoków, dopóki nie trzepnie ich meteor zapomnienia.

Z dnia na dzień milkły warkoty, zmniejszała się liczba incydentów. Dokładnie tak jak przewidział psychoarchitekta. Okazało się to jednak wyłącznie ciszą przed burzą pokwitania.

Pewnego ranka państwa Borsuk obudził brzęk balkonowej szyby. Zerwali się z łóżka i odkryli, że do salonu wtargnął im cyborg z szablą, w trójkątnym kapeluszu na głowie. Nogę zastępowała mu metalowa proteza z tłokami, a spod przepaski na oku błyskała cybernetyczna soczewka.

– Hrrr, hrrr, hrrr, hrrr! Drżycie, maluczcy! – zakrzyknął mechanicznie.  
– Oto ja, Kapitan Haker!

No tak. 631 faktycznie wyrósł z dinozaurów i autek. Na ich miejsce zafascynowały go jednak roboty bądź piraci. Najlepiej: oba.

Państwo Borsuk z rezygnacją dali się wtrącić do brygu we własnej łaziencie. Wpatrzeni w hiszpańskie kafelki kupione w Peweksie w 1980 roku, wspominali fazy, jakie przechodzili z synkiem, Wojtusiem. Po robotach i piratach prędko zajął się czołgami i pajakami. Potem płynnie przeszedł do haratania w gałę oraz nałogowego czytania Harry'ego Pottera. Wreszcie został emo, a na boku zainteresował się hodowlą krabów pustelników.

Czy to samo czekało ich w tym bloku, tyle że na żywo i podniesione do kwadratu? Pancerne tarantule strzelające odłamkowymi kokonami? Kibole quidditcha pytający „Za kim jesteś, szlamo?”. \$@moBooJcze \$Koroopi@czKi \$łoochajoNce ToKyo Hotel?

Nie! Nie po to pozbyli się gówniaka z domu, do cholery, żeby teraz przechodzić jeszcze raz przez to piekło!

Pan Borsuk chwycił za rurkę i wyszarpnął ją z bojlera. Gaz zasyczał wężowo, wolno napęlniając pomieszczenie. Małżeństwo przytuliło się do siebie w wannie, oczekując na wybuch. I na upragnioną, bezdzietną ciszę, o którą na tym świecie, niech go szlag!, coraz trudniej.

## IX

### Ring marnotrawny

[Andrzejki]

– Chyba sobie, kurwa, jaja robicie – zaklęła detektyw Nibelung, gdy znad zalanego woskiem ciała wypatrzyła Talię Tarot tasującą się coraz bliżej i bliżej policyjnej taśmy. Sięgnęła po komórkę dwujajową i natychmiast połączyła się z komendantem Wagnerem.

Trzy minuty później z furią cisnęła jajnikiem o ziemię. Jako krasnoludka do ziemi nie miała daleko. Karciana wróżbitka zdążyła w tym czasie rozmówić się z posterunkowym i wkroczyła na miejsce zbrodni. Na froncie nosiła **Rydwan**.

– Dobra, ustalmy coś sobie, telewizyjna szarlatanko – wypaliła Nibelung bez powitania. – *Ja* prowadzę śledztwo. *Ty* podrzucasz tropy do weryfikacji. Nie wiem, jak obcyganiłaś komendanta i nie interesuje mnie to. Chcę dorwać tę morderczynię, zanim kolejny Andrzej pożegna się z życiem. Kapewu?

– Przewidziałam, że żona zdradzi go w pracy z Ringteligentnym fotelem masażowym – odpowiedziała, wytasowując **Kochanków**. Być może po to, by obnażyć własny Ring, wkomponowany w ilustrację wytłoczoną na karcie. – Ofiarę zatopiono żywcem w wosku, podobnie do poprzednich?

– Jak widać na zajebłączonym obrazku – Detektyw prychnęła. – Ponownie w kształcie pieprzonego łabądka.

– Nie.

– Nie? Co nie! Robi to od pierwszego sztywnego Andrzeja!

– Mmm, przykro mi, ale nie wyczuwam zwierzęcej aury, pani detektyw. To coś innego, choć również spod żywiołu Wody. Nie istnieje natomiast w płaszczyźnie jawy.

– A niby czego, do ciężkiej pylicy? Snu? Duchów? Cieni? Czy może...

Urwała. W głowie pojawiła się idea. Skojarzenie z innymi scenami zabójstw Czarnej Andrzejk. Zawsze pod ścianą bądź murem. Ten sam kąć łabędziego łba względem płaszczyzny.

Czyżby?

Wyszarpnęła lampę najbliższemu technikowi i podeszła z nią do ciała. Przesunęła się w prawo, w lewo, bliżej, dalej. Wreszcie zamarła. Cień zastygł w zupełnie nową formę. Szyja skróciła się, dziób okręcił, skrzydła wyrównały. W niczym nie przypominała łabądka. Przypominała za to...

– O chuju śmierdzący do kolan wiszący – zaklęta tak szpetnie, że Talii Tarot z oburzenia zagięły się rogi. – Dlaczego to musiał być właśnie on?!

\*\*\*

W biurze senatora Andrzeja Bideta przyjęto je chłodno. Głównie ze względu na sekretarkę-chłodziarkę ciskającą soplami z przegródek. Niemniej gdy jajowodową linią wewnętrzną królowa lodu przekazała nazwisko „Nibelung”, drzwi momentalnie zadygotały od poirytowanego bulgotu:

– Wpuścić!

Krasnoludka detektyw oraz chodzący tarot znalazły się w przepastnym, jasno oświetlonym gabinecie z ogromnym oknem. Za biurkiem na ceramicznej nóżce stał bidet. Lśniący od środków czystości, elegancki. Jego kurek zdobił Ring inteligencji. Ring znajomy, nęcący, przeklęty. Jej Ring.

Nibelung aż zgięła się od bólu w sercu. Była przekonana, że jest ponad to. Pomyliła się. Widok Andrzeja nadal przyprawiał ją o mieszaninę gniewu, tęsknoty i zawodu. Podarowała mu swój największy skarb. Wszystko, co miała. A on olał ją ciepłym strumieniem z zawadiacko wykrzywionego kranika. I odszedł rozpocząć karierę w polityce.

– Panie Bidet, przychodzimy w sprawie służbowej – zaczęła tonem wskazującym, iż nie jest w nastroju na wspominki. – Czy te zdjęcia cokolwiek panu mówią?

Rzuciła na blat fotografie z ostatniego incydentu. Martwy Andrzej w zwałach wosku. Ostry, chirurgiczny poblask. Ciężki bidet na ścianie, wykrojony dokładnie tak samo, jak na plakatach wyborczych.

– Zaraz, Czarna Andrzejka? – zapytał przerażony podmywak. – O, niebiańskie ustępy! Zwiększyłem, rzecz jasna, ochronę, odkąd sprawa stała się medialna. W końcu ta wariatka morduje Andrzejów. Ale nie podejrzewałem... – Przełknął wodę z odpływu. – Nib, co to oznacza?

– Detektyw Nibelung – poprawiła oschle. – Jeżeli seryjniak faktycznie ostrzy sobie na pana zęby i odreagowuje niemoc innymi mordami, upada teoria o tym, iż to kobieta mszcząca się za zdradę. Jacyś wrogowie przychodzą panu do głowy?

Prychnął z zaworu.

– Startuję w wyborach na górmistrza miasta. Mój oponent? Zygryd?

Śledcza zamyśliła się. Zygryd należał do radykałów. Uważał piastowanie jakichkolwiek stanowisk przez Ringteligentne przedmioty za aberrację. To oni, krasnoludy, dobywali Ringi z kopalni swych serc. To oni decydowali, które rzeczy pragnęli obdarzyć świadomością; tylko raz w życiu, gdy poczuli coś szczególnego. Więż. Fascynację. Miłość. W połowie rodzice, w połowie kochankowie. Nie oznaczało to jednak, że owe twory miały decydować o losach miasta... przynajmniej według niektórych.

Obejrzała się na Talię Tarot. Wróżbitka już raz okazała się pomocna w śledztwie. Łut szczęścia? Czy też faktycznie ujrzała „prawdę”?

– Ścieżka losu naszego łowcy biegnie niemal równolegle – potwierdziła bez pytania. – Taaak. Nie tyle przecina się z torami Zygryda, ile przylega do nich. Jak gałąź do pnia. Nie **Cesarz**. **Kapłan**, **Papież**, **Hierofanta**. – Pokazała odpowiednią kartę. – Różne nazwy tej samej energii.

Senator Bidet parsknął.

– Chyba nie wierzysz w te bzdety, Nib? – zapytał. – To może być każdy z jego sztabu! I wcale bym się nie zdziwił, gdyby któryś z nich okazał się psycholem, tyle ci powiem! Cholerni fanatycy...

Nie słuchała. Trybiki pod kopułą zostały uruchomione, maszyna aż syczała.

Gałąź odrastająca od pnia. Wierzący. Ścieżka obok Zygryda.

– Zaraz, czy pański oponent nie mianował przypadkiem szefem kampanii swojego syna?

\*\*\*

*Bidet był jej zbawieniem. Układała się w nim po ciężkim dniu na posterunku i obmywała w łagodnym, szemrzącym strumieniu. Kształt muszli dopasowywał się idealnie do jej mikrych kształtów. Woda wślizgiwała się we wszystkie odpowiednie miejsca. I przy okazji parę nieodpowiednich, ale to również lubiła; oj tak. Serce wirowało jej ogniem. Wiedziała, co to oznacza. Sięgnęła do piersi i pośród iskier oraz łun tęczowych wydobyła spomiędzy żeber złoty krążek...*

– Detektyw Nibelung?

Ocknęła się w radiowozie. Talia Tarot szturchała ją kantem **Rycerza Buław**. Od dwóch dni obstawiała syna Zygryda, Gunnara. Jeździły za nim po spotkaniach z wyborcami, punktach ksero, brunchach z inwestorami. Śledcza zaczynała wątpić, czy to ich człowiek. Czy nie marnują czasu.

Teraz ujrzały wyraźnie, jak o 4:15 nad ranem wymyka się z kamienicy w czarnym płaszczu i fedorze. Wsiadły i po cichu ruszyły za nim.

Figurant zasadził się pod piekarnią „U Andrzeja”. Przybył właściciel z kluczami. Gunnar wyskoczył z kryjówki i zaciągnął szamoczącą się ofiarę do alejki. Detektyw i wróżbitka – siup za nimi.

– Stać, policja! – ryknęła, mierząc do mordercy ze służbowej kuszy.

Gunnar odwinął się i zasłonił piekarzem. Z białych ślepi mordercy łypało szaleństwo. W okolicznych mieszkaniach zapaliły się światła i w blasku roznieconych ognisk domowych zalśniły dłonie mężczyzny. Półpłynne, kapiące woskiem.



– Nie powstrzymacie mnie! – odgrażał się. – Nie powstrzymacie tego, co nieuniknione! Mój ojciec wygra i oczyści to miasto z Ringteligentnych ścierw! Zygfyrd na górmistrza!

Wosk dostał się do ust zakładnika. Potworny, stłumiony jęk przeszył powietrze.

– Brak czystego strzału. – Nibelung zaklęła pod nosem.

Talia Tarot zgięła się, przytakując głową **Głupca**.

– Jest pani w stanie mi zaufać, pani detektyw?

– Ha! – Uśmiechnęła się krzywo. – Nie mam zbyt wyjątkowego wyjścia, do kurwiej fermy, c'nie?

– Proszę celować w wątrobę – poleciała wróżbitka.

Następnie ścisnęła się w sobie, napięła iii... wystrzeliła, sypiąc kartami jak podczas nieudanej sztuczki magicznej.

Gunnar spanikował i odruchowo osłonił twarz. Nibelung złożyła się do strzału. Brzęknęła cięciwa.

*Pękł Ring.*

Godzinę później scena została zamieciona. Śledcza ściągnęła ze śmietnika ostatni element Małych Arkanów, **Dwójkę Mieczy**, i pomogła panie Tarot pozbierać się do kupy. Stały razem nad roztopiającymi się zwłokami „Czarnej Andrzejkki”.

– Zygfyrd okazał się zatem hipokrytą – mruknęła Nibelung. – Podarował Ring figurze woskowej i rozповідаł naokoło, że to jego syn. A tymczasem sam lobbował za odebraniem praw Ringteligentnym przedmiotom.

– Na to wygląda.

– Tylko czemu w takim razie Gunnar zabijał Andrzejków? By udowodnić „tatulkowi”, że się do czegoś nadaje? Bo czuł się gorszy, że nie jest prawdziwym chłopcem?

– Na pewne pytania nawet „telewizyjna szarlatanka” nie zna odpowiedzi – przyznała Talia Tarot.

Karta wytasowana na front zadawała jednak kłam jej słowom.

**Moc.** No tak, polityka. Detektyw Nibelung nigdy nie rozumiała, czemu ludzie zabijają, kłamią i kradną w jej imię.

Czemu odchodzą.

Klepnęła towarzyszkę w rewers.

– Niedaleko jest knajpa. Pójdziemy coś bombnąć? – zaproponowała. – Mam nierozwiązaną sprawę, którą chciałabym skonsultować.

Talia Tarot posłała jej tajemniczy uśmiech z tarczy **Słońca**.

– Nie chciałam nic mówić, kiedy się poznałyśmy, detektyw Nibelung... Nib. Ale już wtedy przewidziałam, że to może być początek pięknej przyjaźni.

## X

### Hamptibombki z choinki spadł

[Wigilia]

Hamptibombki zsunął się z czubka. Sunąc ku ziemi z prędkością 20 machów na kiepa i 20 kiepów na paczkę, spowity żarem i dymem, został zauważony przez małą dziewczynkę. Uradowana, wypowiedziała życzenie do spadającej gwiazdy. Nie wiedziała, że ze szczytu Choińca spadła tego wieczoru nie gwiazdka, lecz aniołek. A upadły anioł to ktoś, komu lepiej nie zawierzać swych najskrytszych pragnień.

Wygrzebawszy się z krateru, Hamptibombki zameldował się na progu domostwa. Otworzyła mu dziewczynka. Z piskiem rzuciła się na szyję niespodziewanemu gościowi, krzycząc: „Tatuś, to tatuś, on wrócił!”. Hamptibombki spojrział w lustro w sieni i odkrył, że Magia Świąt wyposażyła go w znoszony mundur oraz podkreślony wąsik. Na nieśmiertelniku widniało nazwisko „kapral Champ T. Bąbky”.

Rodzinka obwiatowała powrót bohatera z frontu. Toż to istny świąteczny cud! Szufłowali weń bigos, aż zrobił mu się *big ass*. Żonka z werwą doprawiała mężulkowi pierogi. Karp ubił szwagra w wannie i podał go w galarecie. Ale Hamptibombkiego i tak najsyciej sycił fakt, iż ktoś zapragnął jego przybycia – i to się spełniło. *Czy to naprawdę takie proste?*, zastanawiał się. *Wystarczy pomyśleć, czego się chce i puf! dostaje się to od ręki?*

Aby sprawdzić teorię, zabrał rodzinę na spacer do zagajnika. Tam wkroczył między drzewka i trząsał jedną choiną za drugą, wywołując istny deszcz spadających gwiazd. Życzenia posypały się jak płatki śniegu. Forsa, sława, telewizja, wywiady, groupies, umowy, nieruchomości. Nie minęło pół eonu, a każdy przeniósł się do własnej willi z jaguarem na podjeździe. Kontaktowali się coraz rzadziej i rzadziej, aż w końcu przestali do siebie dzwonić. Kiedy z wojny powrócił na święta prawdziwy *paterfamilias*, nikt nie

otworzył mu drzwi. Córeczka poszczuła go nawet jaguarem. Nie będzie przecież rozmawiać z brudnymi włóczęgami, co nie?

Kapral Champ T. Bąbky, zrozpaczony, wspiął się na czubek choinki ustawionej na placu miejskim i skoczył, wrzeszcząc coś o masońskim spisku, ropie i inflacji. Nim rozkwasił się o bruk, Hamptibombki zdążył pomyśleć życzenie. W jego rękach zmaterializował się nakręcany robocik. Identycznego otrzymał od Mikołaja na Święta, gdy miał trzy latka, ale mechanizm popsuł się i mimo obietnic, ojciec nie naprawił go aż do swej śmierci. Teraz, nareszcie, los zwrócił mu ukochaną zabawkę.



Specjalne podziękowania dla:

**Zeter Zelke**

– za beta-czytanie, redakcję i korektę.

Okładka inspirowana obrazami

**René Magritte'a.**

**Niedobre Literki:** Polskie Centrum Bizarro

[niedobreliterki.wordpress.com](http://niedobreliterki.wordpress.com)

[www.facebook.com/Niedobre.Literki](http://www.facebook.com/Niedobre.Literki)

e-mail: [polskiebizarro@interia.pl](mailto:polskiebizarro@interia.pl)

*16-25 grudnia 2022*